

Relacja z zimowej wyprawy po najwyższą górę Uralu

Cel – Narodnaja (1894 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – marzec 2011

Kto – Dziku & Maciek & Łukasz & Madzia

Przyszedł taki czas, kiedy postanowiłem zdobyć **najwyższą górę masywu Ural – Narodnąję**. Góra ta uważana jest również za najwyższy szczyt europejskiej części Rosji, więc byłby to kolejny diament do mojej Korony Europy. Jedyne, co mnie zniechęcało to informacje o potwornych ilościach komarów, jakie czyhają tam na turystów. Co zrobić żeby uniknąć komarów, ale jednocześnie zdobyć szczyt? Stwierdziłem, że zamiast kupować skrzynki środków na insekty można np. pojechać na Ural zimą.

Mimo dosyć ambitnego planu nie było najmniejszych trudności ze znalezieniem towarzyszy podróży. Ostatecznie 4-osobową grupę szturmową oprócz mnie, czyli Dzika stworzyli: Madzia, Łukasz i Maciek.

Ponieważ przedsięwzięcie różniło się od wszystkiego, co dotychczas robiliśmy przygotowania trwały bardzo długo. Do jednych z ważniejszych różnic należało to, że musieliśmy się przygotować do przebywania tygodniami w ujemnych temperaturach, i co za tym idzie zakupić sporo profesjonalnego sprzętu. Inną, zupełnie nową dla nas kwestią było to, że chcieliśmy połączyć naszą wyprawę z wyższym niż sama góra celem. Tym celem miało być uświadamianie społeczeństwa w jak złej sytuacji znajdują się w Polsce chorzy na Stwardnienie Rozsiane. Są to dziesiątki tysięcy ludzi najczęściej zdanych wyłącznie na siebie i swoich bliskich. Pomoc oferowana przez państwo oceniana jest przez międzynarodowe organizacje jednoznacznie: Polska w rankingu obejmującym 29 europejskich państw znajduje się na przedostatnim miejscu. Stąd pytanie i

jednocześnie hasło naszej wyprawy.

Zapraszam do przeczytania relacji z zimowej wyprawy po najwyższy szczyt Uralu, czyli:

„CO ROBIAĄ POLACY NA KOŃCU EUROPY?”

27 II 2011

O godz. 16:20 wyjeżdżamy pociągiem z Wrocławia do Lwowa. Grupa przyjaciół nie tylko odprowadziła nas na stację, ale nosiła razem z nami ogromne ilości bagaży. Kiedy złożyliśmy to wszystko w naszym przedziale okazało się, że dla nas nie ma już miejsca. Staliśmy więc w korytarzu i próbowaliśmy obmyślić taktykę. Od momentu odjazdu przez następne parę godzin było przepakowywanie się i próby znalezienia wygodnej pozycji do odpoczynku. Udaje nam się wygospodarować pewne minimum miejsca żebyśmy mogli wejść do przedziału, ale wokół nas jest „0szukać przeznaczenie 5”. Nad głowami kolebią się plecaki z czekanami, łopata i siekierą. W pewnym momencie z grzejnika zsuwa się narta i krawędzią spada mi na palce u bosej stopy. Często przed wyjazdem żartowałem, że może po powrocie nie będę miał wszystkich palców, ale że jednego z nich stracę już za Oławą?! No dobra, palec ocalał, ale losy paznokcia będą ważyły się jeszcze długo po powrocie.

28 II 2011

We Lwowie jesteśmy punktualnie. I od razu dobra wiadomość – pociąg do Moskwy odchodzi z tego samego peronu, więc odpada noszenie bagaży. Jednak karkołomna operacja załadowania się do wagonu typu placart nas nie ominęła. 1 osoba stoi przy bagażu znajdującym się na peronie, 1 układa bagaż w wagonie, 2 osoby na zmianę biegają z ważącymi do 35 kg pakunkami.

Podróż minęła szybko. Dobę później jesteśmy w Moskwie.

01 III 2011

Stoimy na jednym z peronów Dworca Kijowskiego w Moskwie. Wynajmujemy wózkowego, który przejmuje kilka sztuk bagażu. Resztę na plecy, na klatę, w ręce, w zęby, kto gdzie może i

idziemy przed dworzec. Za 1000 rubli wynajmujemy busa i jedziemy na dworzec Jarosławski. A tam... znowu wózek i do poczekalni. Kiedy przechodzimy przez bramki do wykrywania metali wszystko piszczy ale z niewiadomych przyczyn wg ochroniarzy nie wzbudzamy podejrzeń. Pozwalają przejść i nie są zainteresowani żadnym z naszych plecaków. Mamy tu cały dzień czekania, więc dzielimy się na dwójki i kiedy jedna para robi zwiady po okolicy, druga w tym czasie pilnuje bagażu. Niedaleko dworca znajdujemy dobrą i stosunkowo niedrogą stołówkę. W końcu jemy normalny obiad. A nawet na wszelki wypadek dwa. Widzimy, że przy kilku stolikach do obiadu zamówiono butelkę wódki. Na zwrócenie uwagi zasługiwał również labirynt, jaki prowadził do toalety. Ruszyłem po strzałkach. Wchodzę w kolejne korytarze, widzę kuchnię z obsługą, przechodzę koło pani, która obiera ziemniaki, w kolejnym pomieszczeniu ktoś zmywa naczynia – źle skręciłem, wracam do strzałek. Po paru zakrętach ślepy zaułek i biuro z komputerem. Tu już zaprowadziła mnie ciekawość, bo toaletę zobaczyłem chwilę wcześniej – obok drzwi z napisem „dyrektor”. Po południu znów zawitamy z Maćkiem na tę stołówkę, i znów zmierzę się z labiryntem. Jednak nie uda mi się go po raz drugi – tym razem po ciemku – pokonać. Widocznie toaleta jest czynna wtedy, gdy w pracy jest dyrektor.

W Moskwie mamy do spełnienia jedną trudną misję – chcemy zatankować do kanistrów benzynę do naszych maszynek do gotowania. Jednak szczegóły i perypetie związane z operacją „jak przejechać 2 tys. km przez Rosję wioząc petardy na niedźwiedzie oraz 30 litrów benzyny ” lepiej przemilczę. Warto jednak napisać o całej akcji związanej z załadunkiem do pociągu. O tym, z którego peronu on odjeżdża dowiedzieliśmy się dopiero na 25 minut przed jego odjazdem. Jakby tego było mało, „prowadnica” nie chciała zaakceptować naszych wydrukowanych w domu biletów. I wtedy zaczęła się jazda na całego. Po raz pierwszy od momentu wyjazdu cała grupa jest w rozsypce. Ja siedzę w poczekalni przy bagażach. Coraz bardziej zaniepokojony zerkam na zegar. Nie wiem kompletnie, co jest grane. W tym czasie Madzia czeka z benzyną na peronie ale do

pociągu wsiąść nie może z powodu „lewych” biletów. Łukasz biega za wózkowymi a Maciek próbuje przekonać ludzi w kolejce do kasy, że powinni go wpuścić bo ucieknie mu pociąg, na który notabene od 10h grzecznie czekał. Szaleństwo trwa przez następne 20 minut. Ja przerzucam 200 kg bagażu przez barierki poczekalni, pomaga mi w tym jakiś dziadek. Łukasz to odbiera i co się da to próbuje załadować na wózek. Maciek jest w tym czasie odsyłany od kasy do kasy, więc na 10 minut przed odjazdem pociągu wciąż tłumaczy ludziom w kolejnych ogonkach, że musi pilnie bilety wymienić. W końcu rozpoczął się szaleńczy bieg. Do przebycia mieliśmy całą długość peronu (nasz wagon był 2-gi z 20-tu!!!). Na prowadzenie najpierw wysunął się wózkowy, ale kółko mu podskoczyło na nierówności i z wózka spadła torba a za nią komplet pulek z nartami. Dobiega do niego Łukasz z torbą i plecakiem, zaraz potem pojawia się wielki wór i ja – niewiele większy od wora. Nagle przebiega koło nas Maciek wymachując biletami. A Madzia... wciąż pilnowała na peronie benzyny. Jej nadzieja na to, że nam się uda, zaczęła już wygasać. I wtedy zobaczyła biegnący z odsieczą konwój! Jeszcze szybka kontrola paszportowa przed drzwiami wagonu i zaczynam się przepychać z pierwszą partią bagażu do naszych miejsc, oczywiście... na drugim końcu wagonu, który jest już pełen ludzi, toreb, kartonów. Kiedy czekam na towarzyszy i resztę naszego dobytku uświadamiam sobie, że pociąg już ruszył. A ja nawet nie wiem czy reszta zdążyła z tym całym bajzłem wsiąść. Nagle zaczęły do mnie ocierać kolejne torby, plecaki. Okazało się, że ludzie w wagonie postanowili pomóc i podawali je sobie z rąk do rąk. Nareszcie pojawia się reszta ekipy. Okazuje się, że nikt i nic nie zostało na peronie.

2 III 2011

Budzę się przed 22-gą z czerwonymi i spuchniętymi oczami. A mówił Sasza żeby nie pić piwa po wódce. Teraz mnie łeb boli. Ale było całkiem miło. Krótkie wyjaśnienie – popołudniu wpadł do naszego boksu Sasza – Białorusin jadący na azjatycką stronę Uralu. Chciał się zintegrować, a ponieważ był bardzo miły i twierdził, że ma właśnie tego dnia urodziny nie mogliśmy mu

odmówić. Poczęstował nas litrem wódki i zakąską w postaci pysznego chleba, słoniny i oliwek. W takiej atmosferze podróż szybko mija. Nawet, jeśli trwa kilka dni.

Powoli dojeżdżamy do Inty, a temperatura na zewnątrz wynosi jedynie -6! Maciek podsumowuje: „Stary, pod Śnieżką by nas teraz wypizgało a tu co? -6?! Jestem zdołowany...”

3 III 2011

Rano, po 36 godzinach jazdy pociągiem wysiadamy w Incie. Meldujemy się na dworcowym posterunku policji i wymieniamy się z nimi numerami telefonów. Zapewniają nas, że jeśli nie wrócimy za 3 tygodnie to będą nas szukać. Ogólnie miłe przyjęcie.

Dzięki temu, że mamy ze sobą wszystkie niezbędne rzeczy możemy praktycznie od stacji od razu ruszyć w kierunku gór. Ale nie do końca! Wpadamy jeszcze do sklepu po artykuły z „zestawu Saszy”, czyli po wódkę i słoninę. Dopiero teraz jesteśmy w pełni gotowi do wymarszu.

Początkowy, 5 km etap jest mało atrakcyjny – ubity, rozjeżdżony śnieg, kamienie i pełno ciężarówek. Ale po minięciu ostatniego skrzyżowania zostajemy tylko my i nasze pulki. Teraz zaczyna się prawdziwa walka. Droga jest wprawdzie dobrze widoczna, ale jest też przysypana śniegiem. Przeładowane pulki co kilka kroków przewracają się. Grzęźniemy w zaspach. Po prostu mordęga. Przechodzimy w tych warunkach jeszcze z 10 km. Namiot rozbijamy w lesie kilkanaście metrów od drogi. Podczas rozbijania namiotu zapadamy się w głębokich zaspach, to tak na dokładkę do wysiłku z całego dnia.

4 III 2011

Następnego dnia od nowa, krok po krocisku, metr po metrze do przodu. Walczymy w ten sposób do wieczora i urywamy kolejne 15 km. W tym tempie to za jakiś tydzień dojdziemy na Narodnaja i natychmiast trzeba będzie wracać. Rozwiązanie pojawiło się samo. Zaświeciło z daleka potężnymi reflektorami i rozbiło swoją masą 1,5 metrową zaspę. Nam pokonanie tej zasy zajęło jakieś 15 minut. W ten sposób nadszedła potężna ciężarówka

przystosowana do przewozu ludzi. Maciek zagaduje kierowcę, a ten zgadza się nam pomóc. Zwijamy szybko dopiero co rozłożony namiot i ładujemy się z całym bajzłem do środka. Jesteśmy bardzo głodni i spragnieni. W ciągu dnia zużyliśmy zapasy a teraz, kiedy powinniśmy w namiocie topić śnieg i przygotowywać kolację siedzimy w ciężarówce. Jednak przed wjazdem na płaskowyż nasi rosyjscy wybawcy zatrzymują się na posiłek. Widząc nasz wygłodniały wzrok dzielą się z nami chlebem, wędzonym mięsem i samogonem lanym z 3 litrowej piersiówki. Po paru godzinach jazdy po płaskowyżu dogania nas drugi – znacznie mniejszy, ale i nowocześniejszy pojazd. Kieruje nim dyrektor kopalni, który proponuje, żebyśmy się z nim zabrali. Po kolejnej akcji przeładunkowej pędzimy skacząc po zaspach z prędkością nawet do 30km/h w kierunku gór. Nad ranem docieramy do kopalni. Spać idziemy dopiero o 5 rano. 23 godziny na nogach.

5 III 2011

Dyrektor ułokował nas w eleganckich, ciepłych pokojach z wygodnymi łózkami i czystą pościelą. Możemy nareszcie po tygodniu w podróży wziąć prysznic. Do dyspozycji mamy również czajnik elektryczny, więc nie musimy topić śniegu. Nie nastawialiśmy się na takie udogodnienia w podróży, ale gdy już się natrafiły to tym bardziej je doceniamy. Tym bardziej, że Madzia wyjechała z Polski przeziębiona. Ten epizod z kopalnią pozwolił jej zwalczyć gorączkę i dojść do siebie. Popołudniu, w towarzystwie kopalnianego psa, udajemy się na pobliski szczyt o wysokości 1300 metrów, aby podziwiać zachodzące słońce.

6 III 2011

Przystajemy na propozycję dyrektora i ten wczesnym rankiem podwozi nas kolejne kilkanaście km w stronę Narodnaji. Za wszystko, co dotychczas dla nas zrobił nie chce ani kopiejki. Mówi, że „to u nich normalne”. A zrobił wiele. Dzięki niemu czystości, wypoczyni, a przede wszystkim o tydzień wcześniej niż planowaliśmy wyruszamy by przebyć ostatni odcinek, jaki dzieli

nas od szczytu.

Podchodząc kilka godzin mniej lub bardziej stromymi stokami o godzinie 14:45 wszyscy stajemy na szczycie. Na końcowym podejściu komfortu dodawały raki, gdyż śnieg na stoku był bardzo mocno zmrożony. Praktycznie nie dało się go „ugryźć” nawet krawędzią twardej podeszwy górskiego buta.

Pogoda na szczycie była piękna. Temperatura wprawdzie powoli zbliżała się do -20 stopni, ale suche powietrze i całkowity brak wiatru powodował, że nie była ona tak odczuwalna. Kiedy już nacieszyliśmy się już widokami oglądanymi z najwyższego szczytu Uralu postanowiliśmy schodzić. Zejście było bardzo często przerywane robieniem zdjęć pięknego zachodu słońca. Do kamienia, pod którym „zaparkowane” czekały na nas pulki dotarliśmy już w całkowitych ciemnościach. Miejsce to wcześniej przygotowaliśmy pod namiot, więc teraz rozłożyliśmy sprawnie obóz i odpaliliśmy maszynki. Czas na zasłużony posiłek.

7 III 2011

Kolejnego dnia próbowaliśmy dotrzeć pod Manaragę. Niestety droga, którą wybraliśmy nie była najlepsza. Zatrzymało nas strome zejście kotłem do doliny Manaragi. Masy śniegu, jakie się tam nzbierały oraz ślad po lawinie nie zachęcały do prób zejścia tą drogą. Do tego stanęliśmy jak zahipnotyzowani wpatrując się w dolinę. Wspólnie przyznaliśmy, że przed nami rozpościera się jeden z najpiękniejszych widoków, jakie w życiu widzieliśmy. Postanowiliśmy tu na tej przełęczy z zamarzniętym jeziorkiem rozbić namiot. Podczas rozbijania namiotu stwierdzam odkrywczo, że „robi się zimno”. Rzeczywiście temperatura wtedy spadała już poniżej -20 stopni. Madzia zwróciła uwagę, że z takim podejściem można powiedzieć, że do -20 jest ciepło. Tego wieczoru było jednak zdecydowanie zimno. A w nocy termometr zostawiony na zewnątrz dobił do dna wskazując -30 stopni.

8 III 2011

Eksploracja! Wraz z Maćkiem udajemy się na okoliczne góry.

Chcemy poczuć na twarzy wiatr, mróz i po prostu się wyżyć. Madzia i Łukasz zniechęceni wiatrem i słabą widocznością zostają w namiocie. Wspinamy się na pobliską górę i rozpościera się przed nami płaskowyż. Po prawej stronie, zaledwie kilka kroków od nas płaskowyż urywa się pionową ścianą. Dokoła zawieja i duży mróz. Czasami po płaskim szczycie przetacza się mała trąba powietrzna kręcąca tumanami śniegu. Tego właśnie szukaliśmy. Trochę bólu musi być! Przez następne godziny wędrujemy zataczając łuk wokół kotła. Dochodzimy do miejsca po drugiej stronie i stajemy w miejscu gdzie zaczyna się grań. Wiatr przegania chmurę i dostrzegamy w oddali ciemną plamkę – to nasz namiot. Wracamy do niego tą samą drogą, którą przyszliśmy. Tego dnia wreszcie wyglądaliśmy jak polarnicy – zamrożnięte włosy, oblodzone brwi oraz... szeroko uśmiechnięte mordy.

9 III 2011

Tego dnia przechodzimy w sumie ponad 20 km. Zaczęliśmy od zdobycia jednego z okolicznych szczytów. Był on o tyle wyjątkowy, że widoczna z niego panorama obejmowała całą dolinę Manaragi, okoliczne szczyty i granie, a także samą królową Uralu – Narodnąję.

Potem przyszedł czas na zwinięcie obozu i opuszczenie tego wymarzonego na biwak miejsca. Przechodząc przez kolejne przełęcze dochodzimy do naszego „obozu głównego”, w którym nocowaliśmy po zdobyciu Narodnaji. Zabieramy resztę pozostawionych tu rzeczy i rozpoczynamy marsz w kierunku kopalni. Tuż przed zmrokiem napotykamy inną grupę. Byli to jedyni na tej wyprawie napotkani turyści i... również z Polski! Grupa Azymut Wschód & Przyjaciele dopiero dotarła w góry i właśnie rozbijała obóz. Wymieniliśmy się doświadczeniami i zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcie. Potem nasza grupa ruszyła w dalszą drogę. Już po zmroku dotarliśmy do malutkich chat pasterskich nad Jeziolem Bałbanty. Żadna z nich nie nadawała się na nocleg dla 4 osób, ale w jednej z nich chociaż napaliliśmy w piecu i spożyliśmy kolację. A potem do namiotu.

10 III 2011

Tego dnia przeszliśmy jedynie 10 km, ponieważ postanowiliśmy się zregenerować i odświeżyć w kopalni a w drogę powrotną ruszyć dnia następnego. Koło 1 w nocy, kiedy siedzieliśmy przy herbacie Maciek wyjrzał przez małe okienko. Nagle krzyknął i wybiegł. Mimo wiatru i mrozu wszyscy wyszliśmy na zewnątrz po raz pierwszy podziwiać to piękne zjawisko, jakim jest zorza polarna.

11 III -15 III 2011

Rano opuszczamy kopalnię i zaczynamy ostro maszerować w kierunku Inty. Od dworca dzieli nas 125 km płaskowyżu, tajgi i tundry. Pierwszego dnia przeszliśmy 23 km dochodząc do wiaty nad rzeką. Miejsce na biwak jak malowane. Rozpalamy duże ognisko i smażymy słoninę. Dookoła pełno śladów wilków, ale żaden w nocy nie zawył. Maciek licząc na kolejną zorzę nastawia budzik na 2-gą w nocy. Nie przeliczył się. Stanie przez pół godziny w -30 stopniach zaowocowało zrobionymi przez niego ujęciami niezwykłych, nocnych świateł na niebie. Mimo, że podnieconym głosem próbował nas do tego zachęcić, nikt nie zdecydował się wyjść ze śpiwora żeby mu towarzyszyć.

Następnego dnia znów codzienna ceremonia topienia śniegu na posiłki i herbatę. Dziś chcemy dojść do przeprawy na rzece Kożym. Podobno jest tam chatka, a jak jest chatka to może jest i piec. Dzieli nas od niej 28 km, ale droga jest przetarta i mamy dobre tempo. Po drodze mijamy tereny łowieckie wilków. Świadczą o tym licznie występujące tropy. Kiedy będziemy bliżej rzeki natkniemy się również na ślady dużo potężniejszych zwierząt – łosi. Wokół drogi kilkakrotnie widzimy wyrwy w zaspie, przez którą przebił się łoś. Niestety nie udało nam się zobaczyć żadnego z tych stworzeń.

W pewnym momencie zauważam na drodze coś, co wyraźnie odróżnia się od białej tafli śniegu. Bez wahania podnoszę i pakuję na pulkę bryłę węgla wielkości ludzkiej głowy. Z góry założyłem, że w chatce będzie piec, i że warto to dźwigać przez następne 5 km. Tuż przed całkowitym zmrokiem docieramy do brodu na rzece. Przechodzimy po lodzie i przejmujemy we władanie chatkę

położoną nad stromym brzegiem. W środku jest koza! Tzn. taki piec, więc nie targałem węgla na darmo. Rozpalamy ogień i momentalnie robi się ciepło. Dziś jemy jak ludzie – tzn. rozsiadamy się wokół stołu z ustawioną po środku świecą.

Kolejnego dnia wychodzimy na płaskowyż i licząc po cichu, że uda nam się go przejść całego od początku trzymamy szybkie tempo. Jednak droga prowadząca na wierzchołek wzniesienia sięgającego 640 m. n.p.m. dłuży się niemiłosiernie. Kiedy go osiągamy zerkamy po raz ostatni na majaczące w oddali góry. Z żalem żegnamy się z nimi. Od tej pory maszerujemy w niemal księżycowej scenerii. Płaskowyż ten jest w zimie zupełnie pozbawionym „dekoracji” płaskim terenem. To, co dodaje emocji w monotonnym marszu to piękny zachód słońca. Mimo przebytych 29 km nie udaje nam się dojść do lasu po drugiej stronie wzniesienia. Nocujemy w otwartym terenie.

Nakręcenii coraz dłuższymi pokonywanymi odległościami podświadomie dążymy do ustanowienia kolejnego rekordu. Zapominamy, że jest z nami kobieta, która bez narzekania ciągnie takie same sanie jak my. Teraz, kiedy o tym myślę to dziwię się, że nie dostaliśmy kijkiem po głowie. Ale taki jest już Madzi charakter. Oprócz tego, że ta drobna dziewczyna podejmuje się imponujących wyzwań to cele realizuje do końca z uśmiechem na ustach. Dobra forma całej ekipy powoduje, że tego wieczora docieramy do miejsca naszego pierwszego noclegu. Tym samym przekroczyliśmy magiczną granicę 30 km na dzień.

Ostatnie 15km, jakie dzieliło nas od dworca pokonujemy ostatniego dnia wędrówki już na luzie, bez podkręcania tempa. W pobliżu miasteczka widzimy idącego z naprzeciwka mężczyznę. Na sobie nosił czarne, skórzane ubrania, na nogach wysokie glany a w ręku puszka piwa. Kiedy zbliżamy się do siebie dodatkowo podjeżdża starym autem inny, szczerbaty mężczyzna. Wpierw pytają kim jesteście i co tu robimy. Mówimy, że wracamy z gór. Są zaskoczeni, że przeszliśmy taki dystans. Pytają czy dużo zdjęć narobiliście. Zaczęliśmy się obawiać, że czyhają na nasze aparaty fotograficzne i poczuliśmy niepokój. Facet w skórach sięgnął pod kurtkę. Wyciągnął czarny, skórzany, nabijany ćwiekami pokrowiec. Czy wyjmie nóż? Nie, za to naszym

oczom ukazuje się nowiutki Nikon – oczywiście czarny. Podaje go Madzi, ustawia się koło Łukasza i prosi, żeby zrobić im zdjęcie. Mężczyzna z samochodu jeszcze nadmienia: „-Też raz kiedyś byłem w górach”. Potem z uśmiechem żegnają nas.

Przechodzimy ostatni kilometr i docieramy do punktu wyjścia, czyli do dworca w Incie. Maciek informuje milicjantów o naszym bezpiecznym powrocie, następnie kupujemy bilety i pozostaje już tylko czekać do północy na najbliższy pociąg do Moskwy.

16 III-19 III

W drodze powrotnej czekało nas jeszcze trochę przygód. W pociągu z Inty Madzia musiała się chować przed pijanym Tatarem, który chciał ją porwać do domu i pojąć za żonę. Z niewiadomych względów nasza koleżanka odrzuciła ofertę zamieszkania na Uralu Południowym i posiadania własnego konia. Poza tym mimo zredukowanej ilości bagażu w Moskwie znów czekały nas roszady i bieganie na tury, żeby się przemieścić między dworcami i pociągami. A we Lwowie zgarnął nas do busa sympatyczny Ukraińiec, który pokazał jak sobie umie radzić z miejscową milicją i ukraińskimi strażnikami granicznymi. Lekcje, jakie otrzymaliśmy pozwoliły nam z kolei sprawnie uporać się z polską kontrolą. Dzięki temu częściowo ominęliśmy kolejkę i zyskaliśmy cenne minuty. Na dworzec w Przemyśle przyjeżdżamy dosłownie w ostatniej chwili. Kiedy wrzucamy bagaże z peronu do pociągu przybiega Łukasz z biletami. Wsiadamy i w tym momencie pociąg odjeżdża. Za nami 3 tygodnie niezapomnianych przeżyć, mnóstwo pozytywnych wrażeń i życzliwych ludzi. Aby uczcić przygodę z uśmiechem wychylamy po kieliszku wódki. Wtedy do przedziału zagląda smutny Strażnik Ochrony Kolei i smutnym głosem prosi o dokumenty w celu wypisania mandatu. Jesteśmy w domu!

– END –